

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



Święta Agnieszka

(21 stycznia)

Jedna z najmłodszych Świętych. Nie miała lat 13, kiedy poniosła śmierć męczeńską około r. 304.

Wychowana w wierze chrześcijańskiej, poślubiła Chrystusowi swoje dziewictwo. Odmówiła też ręki swej bogatemu synowi patrycjusza rzymskiego. Kiedy z powodu tego oporu oskarżono ją przed sądem, że jest chrześcijanką, zniosła mężnie wszystkie męki. Zdarto z niej szaty, ale osłoniły ją włosy, skazano na spalenie, ale ogień się jej nie jął, wreszcie kazano ściąć.

Na obrazku w białej ubrana postać Świętej niesie w wyciągniętych rękach wieńiec z białych kwiatów jako zamię dziewictwa, a drugi, świetniejszy wieńiec, aureola męczeństwa, otacza jej głowę. Na słodkiej, dziecięcej twarzy i w oczach - zachwyty oglądania Niebieskiego Oblubieńca. Stąpa ku Niemu przez łąkę usianą kwiatami. Jej nogi nie dotknęły ziemskiego brudu. Niewinność i świętość bije z jej postaci.

Ewangelja na drugą niedzielę po Trzech Królach

zapisana u św. Jana rozdz. 2, w. 1—11.

Won czas odbywały się w Kanie galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody i Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, Matka Jezusowa rzecze do Niego: Wina nie mają. Jezus zaś odpowiada Jej: Mnie to zostaw, Niewiasto; nie nadeszłaż jeszcze godzina moja? Mówi tedy Matka Jego do sług: Zróbcie, cokolwiek wam polecę. A stało tam sześć stągwi kamiennych dla obrzędowych obmywań żydowskich; każda z nich zawierała po dwa lub trzy wiadra. Jezus mówi do nich: Napelnijcie stągwie wodą. — I napelnili je aż po brzegi. Jezus tedy rzecze im: Zaczepnijcie teraz, i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A kiedy gospodarz wesela skosztował wody, przemienionej w wino, — a nie wiedział skąd-

by się wzięło, wiedzieli zaś słudzy, co wodę czerpali, — odzywa się do pana młodego gospodarz wesela, i mówi doń: Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec! Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie galilejskiej, i objawił chwałę swoją, — i uwierzyli weń uczniowie Jego.

NAUKA.

Ilekróć czytam w dzisiejszej ewangelji te słowa: Mnie to zostaw, niewiasto! — odczuwam pewne zakłopotanie, bo wydają mi się słowa te nieco twarde i nieodpowiednie w ustach takiego Syna. Gdzie jest bowiem dziecko, któreby matkę swą tak gorąco kochało jak Pan Jezus Matkę swą najświętszą? Czy Ona na tak twardą

odповідź zasłużyła? Przecież tak delikatnie i pokornie odezwała się: Synu, wina nie mają! Ani cienia winy nie znajduję w tej prośbie. To też ani cienia przykrości nie powinna zawierać odpowiedź Zbawiciela. A jednak...

Nie, nie uchybił Boski Syn względem najświętszej swej Matki. Trzeba tylko pamiętać, że co tak twardo brzmi w języku polskim, było powiedziane w języku aramajskim, potem przetłumaczone na język grecki. Już z greckiego tłumaczenia wynika, że słowo „niewiasta” nie zawierało w językach starożytnych nic szorstkiego ani ubliżającego, przeciwnie słowo to wyrażało uszanowanie.

Czemu jednak Pan Jezus odgradza się od Matki tem powiedzeniem: Mnie to zo-

(Dokończenie na str. 47)

W JUBILEUSZOWE DNI...

Na dzień 17 stycznia 1935 przypadają dwie wcale rzadkie i wcale doniosłe uroczystości jubileuszowe.

Pierwszym, to jubileusz „Przewodnika Katolickiego”. 17 stycznia mija pełne 40 lat od ukazania się pierwszego numeru naszego pisma. Odrazu przyjął nazwę, przy której wytrwał przez 40 lat. Odrazu stanął pod sztandarem „Bóg i Ojczyzna” — i pozostał mu wierny. Odrazu też spełnił wielką przysługę względem narodowości, bo powstaniem swem raz na zawsze zagroził drogę prusko-niemieckiemu „Posłańcowi Niedzielnemu”, który właśnie w owe dni w polskiej szacie w Wrocławiu zaczął przedzierać się do serc naszego wielkopolskiego ludu. 40 lat! Ileż to zmian szło od tej chwili! Z zrządzenia Opatrzności Bożej doczekaliśmy się wreszcie najukochańszej Ojczyzny, do której odrodzenia przyczynił się — śmiało i dumnie to podkreślamy — walnie „Przewodnik Katolicki”, wychowując całe pokolenia na zacnych i dzielnych obywateli państwa.

Byłoby zatem tytułów aż nadto, by ten rzadki, pełen chwały i radości jubileusz obchodzić z należną takiej chwili świetnością i okazałością.

Lecz szczęścia zupełnego niema na ziemi! I w kielichu naszej wielkiej, jubileuszowej radości nie brak kropli zatrważającej ją goryczy.

Oto ten, który stał nad kołyską naszej gazety, który z jej pierwszym numerem rozpoczął swą tak błogosławioną i obfitującą w owoce pracę literacką; ten, który równocześnie z gazetą naszą miał obchodzić 40-lecie swej literackiej, społecznej, redaktorskiej działalności, ten dzisiaj z łoża, na które go złożyła bardzo poważna i bolesna choroba, tęskną za ledwie myślą biec może do warsztatu, przy którym nieomal przez pół wieku pracował. X. Józef

UWAGA: Sądzymy, że postępujemy w myśl naszych czytelników, przesuając wydanie numeru jubileuszowego łącznie z uroczystością jubileuszową do chwili szczęśliwszej.

Żywimy nadzieję, że Bóg litościwy nie da nam zbyt długo wyczekiwać tej chwili radosnej!

Kłós jest chory! Ostatnie wydawszy dyspozycje do tak świetnie przedstawiającego się gwiazdkowego numeru Przewodnika Katolickiego — numer ten osiągnął nieomal ćwierć miliona nakładu — ciężko zaniemógł i dziś przebywa w klasztornym szpitalu pod troskliwą opieką lekarzy. Wiemy, że miljonowa rzesza czytelników serdecznie wiadomością tą się zasmuci. Mimo to sądziliśmy, że nie wolno nam wiadomości tej w tak poważnej chwili jubileuszowej ukrywać przed czytelnikami.

Zanosimy więc do Was, szanowni Konfratry w Chrystusie, serdeczną prośbę, byście w jutrzejszej Mszy św., gdy cud Przemienienia zjawi się na Waszym ołtarzu, gorąco westchnęli do Jezusa, za tego, który przez 40 długich lat jako wasz najwierniejszy towarzysz broni, jako ze synów Ojczyzny najdzielniejszy, dzielił z Wami wszelkie trudy i znoje, stał zawsze w pierwszym froncie, zawsze w okopach i zawsze na czołowym miejscu. Wszyscy przecież razem z nim — a niektórzy jeszcze od samego początku — pielęgnowaliście Przewodnika Katolickiego i czuwaliście, by wyrósł na tego olbrzyma wśród czasopism katolickich, spełniającego dziś w pełni swych sił swe szczytne posłannictwo. Pomódlcie się serdecznie za Waszego chorego towarzysza broni.

Tę samą prośbę zanosimy do Was, najdrożsi Czytelnicy. Wszyscy tworzymy przecież jedno ciało i jedną duszę, wszyscy jesteśmy jedną wielką, ogromną rodziną w narodzie polskim i w Kościele katolickim. Przypominacie sobie dawną winjetę Przewodnika Katolickiego: kapłana prowadzącego gromadę rzemieślników, robotników i rolników, starych i młodych, maluczkich i wielkich, do stóp Ukrzyżowanego. Pomódlcie się za te-

go kapłana! On przez 40 lat w swoim piśmie był Wam przewodnikiem i kierownikiem! On, w różnych kolejach życia, w chwilach radosnych, częściej jednak w ciężkich i bolesnych, zawsze Was krzepił na duszy. Zawsze zagrzewał Was do spełniania obowiązków! Dzieci Wasze wychowywał tak, że dziś są zacnymi i dzielnymi obywatelami Państwa i Kościoła. My wiemy, że swej modlitwy nie odmówicie ukochanemu redaktorowi Przewodnika.

Będzie to najpiękniejszy jubileuszowy podarunek, gdy niezliczone setki i tysiące młodych czytelników Małego Przewodnika ukłęką przed obrazem Serca Najświętszego i swe niewinne serczki złożą do modlitwy za chorego. Szturmować będziemy do nieba tak długo, aż Bóg nas wysłucha!

Gdy te słowa piszemy, na myśl przychodzi ciężka choroba króla Ezechjasza, o którym księgi królewskie mówią, że w „one dni zaniemógł aż na śmierć”! Wtedy Ezechjasz obrócił twarz swoją ku ścianie i modlił się do Pana: „Proszę, Panie, wspomnij, jakom zawsze chodził przed Tobą w prawdzie i w sercu doskonałem, a czyniłem, co się przed Tobą podobało.”

Bóg wysłuchał modlitwy Ezechjasza. „Słyszałem modlitwę twoją i widziałem łzy twoje, i oto cofam na zegarze twego życia wskazówkę, i przydaję ci do dni twoich lat piętnaście.”

Tak i my, Przewacny i Najdroższy Księżę Redaktorze, modlić będziemy się za Ciebie, wskazując Bogu, jakos chodził przed Nim przez wszystkie lata Swego pracowitego życia w prawdzie i w sercu doskonałem, i jakos wszystko czynił, co się Jemu podobało.

Zobaczysz, że Bóg wysłucha próśb naszych!

REDAKCJA
PRZEWODNIKA KATOLICKIEGO

Świat do kogo należeć będzie?

Nasamprzód jedno pytanie. Ile ludzi żyje na świecie?

Czy liczba białych, żółtych i czarnych przekracza cyfrę 2 miliardów? Otóż od ludożerców Nigerji (Afryki) i żebraków Szanghaju (Chiny) począwszy, a skończywszy na miliardach Nowego Jorku, żyje i cierpi na świecie olbrzymia armia ludzi, licząca przeszło 2 miliardy dusz.

Wzrost ludności w ubiegłym półtora-stuleciu postępował naprzód bardzo szybko i bez przerwy.

W roku 1650 wynosiła ogólna liczba mieszkańców świata nie więcej jak 450 milionów. Na początku zaś 19 wieku dochodzi cyfra ta do wysokości 600 milionów, a obecnie w roku 1934 przekroczyliśmy już cyfrę 2 miliardów, czyli 2000 milionów. Jest to oczywistym dowodem, że liczba mieszkańców świata w przeciągu ostatnich 134 lat powiększyła się przeszło trzykrotnie.

Liczba ludzi na świecie rośnie w ostatnich latach zatem w sposób zawrotny. Dokąd dojdziemy, jeżeli ten rozwój potrwa tak daleko? Jeżeli z 2 miliardów zrobi się 4, a z czterech 6, i z 6 miliardów wyłoni się 8? Czy i wtenczas nie nastąpi przeludnienie? Czy nie musi zabraknąć miejsca na ziemi, a prócz miejsca także żywności na wykarmienie tych miliardów? Przecież uczony Denk obliczył, że nasza ziemia może w dzisiejszych warunkach pomieścić i wyżywić najwyżej około 8 miliardów.

Jeżeli przyrost urodzeń, jaki wykazały ostatnie 134 lata, nie ulegnie zmianie, to obecna ilość mieszkańców świata powiększyłaby się w przeciągu najbliższych 150 lat czterokrotnie, to znaczy, że w roku 2080, a więc po trzech pokoleniach wzrosłaby liczba wszystkich ludzi, zamieszkujących kulę ziemską właśnie do owej niebezpiecznej wysokości 8 miliardów.

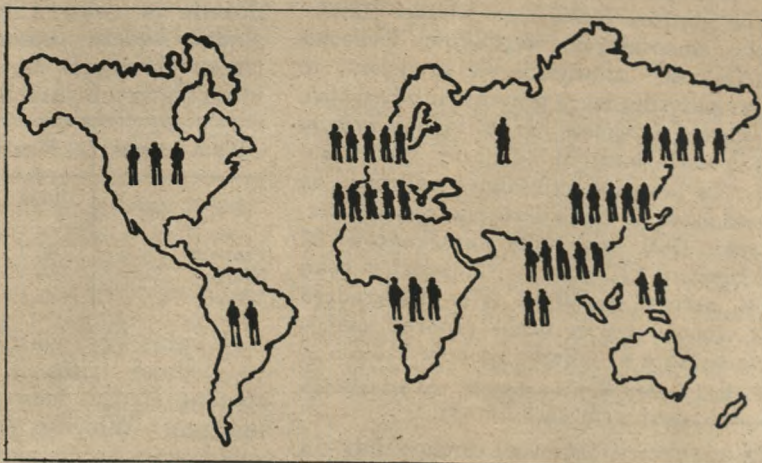
Na świecie nie byłoby wówczas już miejsca dla nowych przybyszów. Czy jednak drzewa rosną do nieba! Czy ludzkość będzie rozmnażała się bez końca tak, że zabraknie miejsca i żywności?

Ale jak nie potrzebujemy się obawiać, by drzewa nie urosły aż do samego nieba, tak też nie potrzebujemy się lękać, że ziemia będzie w roku 2080 przeludniona. Wręcz przeciwnie. Jeszcze wiele niezamieszkałych części różnych krajów będzie świeciło pustkami. Udowodnił to uczony włoski Gini (czyt. Dzini); a my przytaczamy kilka faktów, które to potwierdzą w całej pełni.

Otóż przede wszystkim

liczba Europejczyków zmniejszy się.

Narody takie jak francuski, niemiecki, angielski, przekroczywszy swą linię rozwojową, już powoli poczynają ustępować miejsca innym rasom wzgl. narodom. Bo, by pozostać przy porównaniu z światem roślinnym, z rasami ludz-



Rozmieszczenie ludzi na świecie. Jest jeszcze dużo miejsca na nowych i starych kontynentach (częściach świata), które czekają na dzieła przyszłych pokoleń. Obrazek powyższy pokazuje nam, do jakich części świata możnaby w przyszłości skierowywać kolonizację. Ameryka tak południowa jak północna wykazuje słabe zaludnienie, podobnie i inne kraje.

kości ma się sprawa podobnie jak z drzewami! Drzewo rodzi się, rośnie, rozwija, a potem umiera powoli śmiercią naturalną, albo też nagle niespodziewanie śmiercią gwałtowną. Jak drzewa szybko lub powoli rosną, jak umierają wcześniej lub późno, taksamo przeżywają poszczególne narody (lub całe rasy) swą młodość, swój wiek dojrzały i swoją starość. Jedne rosną powoli, inne szybko, jedne umierają wcześniej, inne doczekują się wieku obliczającego się na kilka tysiącleci!

Zdaje się, że obecnie zanika biała rasa, podczas gdy inne rasy znajdują się w okresie rozrostu. Jest to fakt, o którym ciągle słyszy się, a statystyka (czyli obliczenia) potwierdza to w zupełności.

Biali, którzy nie stanowią nawet 1/3 części mieszkańców całego świata, panują jednak dotąd wskutek swej przewagi politycznej

Najważniejsze rasy ludzi na świecie

Jeśliby siła zależna była jedynie od liczby, to chiński kolos pogardliwie spoglądałby na małego Japończyka, który sięga mu zaledwie do kolan. Współczesna historia uczy nas jednak, że bywa naodwrot. Mały Japończyk na olbrzyma chińskiego patrzy z góry. Wiemy, że Azja przewyższa pod względem liczby mieszkańców Europę i Amerykę, a jednak narazie jest słabsza niż Ameryka wzgl. Europa. Pomiedzy azjatyckie i europejskie narody wbiła się klinem rodzina słowiańska, która liczy 303 miliony mieszkańców i dzieli Wschód od zachodniej Europy.



Chińczycy
454
miliony.



Indowie
356
milionów.



Słowianie
303
miliony.



Póln. Ameryka
170
milionów.



Germanowie
149
milionów.



Romanowie
121
milionów.



Japończycy
65
milionów.

nad pozostałymi $\frac{2}{3}$ częściami ludzkości. Ale biała rasa zaczyna stale obniżać roczny przyrost urodzeń, t. zn., że chociaż liczba urodzeń przewyższa jeszcze zawsze liczbę śmiertelnych wypadków, i chociaż śmiertelność ustawicznie się zmniejsza, to mimo wszystko także przyrost urodzeń stale się kurczy i ogólna liczba tego przyrostu jest o wiele mniejsza od liczby śmiertelności. Tę prawdę wyjaśnimy najlepiej na przykładzie: w Niemczech przypadało nprz. w roku 1921 na 1000 mieszkańców 22 urodzenia i 13 zgonów. Natomiast w roku 1934 notuje statystyka tylko 14 urodzeń i 11 zgonów, a więc liczba urodzeń zmniejszyła się aż o 8, a liczba zgonów tylko o 2.

Podobne przejawy występują we wszystkich poważniejszych państwach Europy.

W rzeczywistości więc dochodzimy do spadku rocznego przyrostu urodzeń na 1000 mieszkańców w stosunku następującym:

państwa	przyrost urodzeń na 1000 mieszkańców	
	1921	1934
Austria	6.4	1.3
Francja	2.1	0.5
Niemcy	8.8	3.5
Anglja	8	2.4
Włochy	12.4	10

Spadek liczby urodzeń w ostatnich 13 latach jest pod każdym względem katastrofalny. Następstwem tego jest, że ogólna liczba mieszkańców każdego państwa będzie niby dalej wzrastała, ponieważ urodzenia przewyższają ustawicznie jeszcze liczbę zgonów, jednakowoż to zwiększanie się liczby mieszkańców będzie coraz słabsze, aż przyjdzie wreszcie chwila, kiedy europejskie narody osiągną tę granicę, od której rozpocznie się spadek liczby przyrostu ludności.

Ta godzina, w której rozpoczyna się upadek narodu, wybije dla Francji

prawdopodobnie w roku 1945, a upadek liczebny narodu niemieckiego będzie bardzo widoczny już prawdopodobnie w roku 1960. Oto tak wyglądać będzie prawdopodobnie liczba trzech głównych narodów europejskich w najbliższych latach:

Państwa	Mieszkańcy w milionach		
	1930	1945	1960
Francja	40.7	40.6	40
Niemcy	64.3	67.7	65.6
Włochy	43.5	49.6	55.5

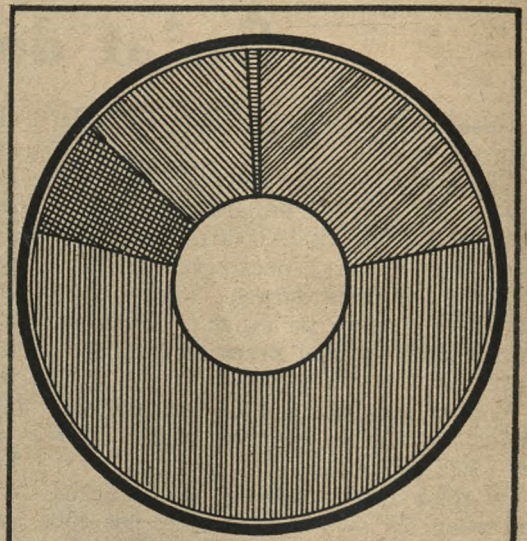
W roku 1945 wkroczy Francja a nieco później także i Niemcy na linię spadku. Będzie tedy więcej zgonów niż urodzeń. Włochy natomiast będą się znajdowały w tym samym czasie jeszcze w fazie przyrostu mieszkańców.

Cóż więc? czy zabraknie ludzi na ziemiach Francji lub Niemiec? Nie, bo Opatrzność tak uregulowała prawa rozwojowe ludzkości, że na ziemi **ludów wymierających wsuwają się inne narody** nie chorujące na uwiad starczy. Strasznej tej chorobie nie uległy naogół dotąd narody słowiańskie. Jeżeli wszystko nie myli, idziemy ku takiej przyszłości, w której się zaznaczy

wyraźna przewaga Słowian

To druga pewność, zasługująca na podkreślenie! Narody słowiańskie, a więc i nasz naród polski, (naturalnie o ile nie pozwolimy się zarazić chorobą starczą ludów zachodnich) czeka wielka przyszłość!

Już ze statystyki możemy widzieć, że narody romańskie i germańskie liczbowo powoli, chociaż napozór nieznacznie, zanikają. Słowianie zaś wzrastają liczbowo i zdradzają wielką siłę rozrodczą. Germańskie narody, osiągnąwszy punkt szczytowy przed wojną



Stosunek ogólnej liczby mieszkańców świata na kontynentach.

	Azja	1155 milionów
	Europa	503 „
	Ameryka	255 „
	Afryka	150 „
	Australia	10 „

światową, znajdują się obecnie w fazie zanikania. Podzielią one (o ile się nie wyleczą z owej choroby, co także jest możliwe) w przyszłości losy narodów romańskich.

W niedalekiej przyszłości ludzkość będzie zatem świadkiem, jak Słowianie staną się rasą liczebnie, a najprawdopodobniej i faktycznie panującą w starych krajach europejskich!

Ale ludzkość za kilka lub kilkanaście pokoleń patrzeć będzie na jeszcze większą przemianę. Przyszłe pokolenia będą prawdopodobnie nie tylko świadkiem

Wielkim europejskim narodom zagraża niebezpieczeństwo komunistyczne

Czerwona armia trzyma ręce w kieszeniach. Ale przewaga nie zależy od fizycznej wielkości. Zwłaszcza starożytna historia uczy nas, że małe narody, jak np. Rzymianie, potrafili podbić cały znany świat ówczesny.



Rosja
163
miliony.

Niemcy
65
milionów.

Anglja
45
milionów.

Italja
42
miliony.

Francja
42
miliony.

Narody, które umierają i narody, które rosną:

W roku 1934

równała się liczba mieszkańców Niemiec liczbie mieszkańców Japonii. W Niemczech obniżają się jednak urodzenia, w Japonii zaś wzrastają niesłychanie. Losy tych państw nie będą więc jednakowe.



Niemcy
65
milionów.

Japończycy
65
milionów.

W roku 2050

zmniejszy się liczba Niemców o jedną trzecią, Japończycy zaś liczebnie potroją się. Nic nie powstrzyma rozpiekającej siły Japonii.



Niemcy
47
milionów.

Japończycy
176
milionów.

tego dziejowego wydarzenia, kiedy stare narody romańskie i germańskie ustąpią miejsca Słowiańszczyźnie. Jak jedno pokolenie goni drugie i natychmiast jego miejsce zajmuje na ziemi, tak też do walnej rozprawy z światem słowiańskim i resztkami narodów romańsko-germańskich zgłaszać się będą narody, które dotychczas żyły na innym kontynencie, w innej części świata. Obudzą się ludy największego kontynentu Azji i poczną cisnąć się w ogromnej wędrówce narodów do małej, starej Europy, o ile w niej miejsca szczelnie nie będą powypelniane! Takie już jest prawo rozwoju ludzkości! Rozpocznie się już nie walka narodów, ale

wielkie zmaganie się konty-nentów.

Azja stukać będzie bezustannie do bram wiekowej staruszki Europy. Kto wtenczas obejmie panowanie nad światem? Kto będzie musiał ustąpić miejsca? Ten, który z powodu wyludnienia nie będzie już miał sił do obrony tego, co odziedziczył po przodkach! Do krajów ludem szczelnie wypełnionych nikt nie będzie zgłaszał pretensji! Zbliżamy się tylko do takich stołów, u których miejsca jeszcze nie są zajęte. Gdy Europa będzie przeludniona, może być pewna, że nadmiar ludności narodów azjatyckich skieruje się do innych części świata! Jeżeli jednak biała rasa nadal nie będzie się zwiększała, jeżeli owszem nastąpi zanikanie ludności, wtenczas białej rasie grozi zagłada od rasy żółtej. Już obecnie grozi przewaga rasy żółtej, wisząca niby czarna chmu-

ra na europejskim horyzoncie. Już dzisiaj bowiem rasa żółta przewyższa białą liczebnie.

Kto obejmie panowanie nad światem? Europa czy Azja? Już obecnie wisi groźna chmura na niebie, zwiastująca wielką burzę!

Ażeby przedstawić fakt ten w całej jego doniosłości, podamy niżej jaskrawy przykład na to, t. zn. weźmiemy z jednej strony takie europejskie państwo jak Niemcy, którego ludność stale się zmniejsza, z drugiej zaś Japonię jako państwo azjatyckie, którego ludność w niesłychanym stopniu się zwiększa: Japonia obejmuje mniejsze terytorium od Niemiec, a mimoto liczba mieszkańców Japonii osiągnęła cyfrę 65 milionów, czyli prawie taką samą, co Niemcy.

Jeżeli odejmiemy liczbę zgonów od liczby urodzeń, to w Niemczech wynosił roczny przyrost urodzeń w roku 1913 — 720.000, podczas gdy obecnie ten sam przyrost obniżył się już do 280.000 urodzeń. W Japonii przychodzi obecnie na świat około 2 miliony dzieci rocznie. Należy przytem podkreślić, że pod względem higienicznym Japonia stoi na bardzo niskim poziomie.

Z tego też względu jest cyfra śmiertelności w Japonii bardzo wysoka i wynosi prawie 1 milion zgonów rocznie. Mimoto jednak pozostaje w Japonii przyrost urodzeń na wysokości 1 miliona, podczas gdy w Niemczech, które liczą tyleż mieszkańców co Japonia, obejmuje on tylko 280 tysięcy na rok.

Jeżeli weźmiemy te cyfry za podstawę, to można zgóry matematycznie obliczyć,

że Niemcy będą miały w roku 2050 (to zn. za 116 lat) 47 milionów mieszkańców, a ludność Japonii podskoczy w tym samym roku do 176 milionów.

Ojciec święty wyjaśnił w swojej encyklice „Casti connubii” moralne przyczyny zaniku ludności na świecie.

Jako duchowy przewodnik świata przypomniał jednocześnie ludzkości jej obowiązki względem Boga, powołując się na boskie przykazanie: „Rośnijcie i rozmnażajcie się”. Ażeby zrozumieć doniosłość tego poważnego napomnienia, będącego przewodnią myślą zbawienia ludzkości, trzeba dobrze rozważyć całe trudne to zagadnienie i stale powracać do przytoczonego materiału statystycznego. Będzie też dobrze wstrzymać się narazie od przedwczesnego i może zbyt pochopnego wyciągania jakichkolwiek wniosków politycznych i religijnych na ten temat. Pogląd, który głosi, że należy szukać przyczyny zmniejszenia się urodzeń w kryzysie gospodarczym, jest napewno fałszywy. Jeszcze będziemy mieli okazję dostarczyć na to dowodów w oparciu na statystyce gospodarczej.

(Według artykułu prof. Galliano Peruzzi.)



Najważniejsze zmiany liczebne w stosunku do poszczególnych ras

W roku 1810

posiadali Romanowie (t. j. Włosi, Francuzi, Belgowie, Hiszpanie, Portugalczycy, Rumunowie), Germanowie i Słowianie prawie równą liczebność.



Romanowie
64
miljony.



Słowianie
64
miljony.



Germanowie
59
miljonów.

W roku 1930

zrobił się ze Słowianina kolos, gdy Romanowie i Germanowie wobec niego wyglądają jak małe dzieci.



Romanowie
121
miljonów.



Germanowie
149
miljonów.

Słowianie
303
miljony.

Kalendarzyk liturgiczny

Dnia 20 stycznia. Niedziela II po Trzech Królach. W lekcji mszalnej tej niedzieli św. Paweł daje wiernym szereg upomnień i pouczeń moralnych do przestrzegania (do Rzym. r. 12). Ewangelja o godach w Kanie Galilejskiej (Jan r. 2). Z tą niedzielą rozpoczynamy rozważanie tajemnic z życia publicznego Zbawiciela, gdyż rozważanie i obchód tajemnic Dzieciństwa Jezusowego św. liturgii kończy się z dniem oktawy Trzech Króli. To też i barwa szat mszalnych tej i następnych niedziel już nie biała, lecz zielona.

Dnia 21 stycznia. Poniedziałek. Św. Agnieszki, panny i męczenniczki. Zaledwie 13-letnia dziewczeczka z miłości dla Zbawiciela życie swe w ofierze poświęciła w r. 304.

Dnia 22 stycznia. Wtorek. Śś. Wincentego i Anastazego, męczenników. Św. Wincenty, diakon, poniósł śmierć męczeńską w Hiszpanji w r. 304, a św. Anstazy, zakonnik, w Persji w r. 628.

Dnia 23 stycznia. Środa. Św. Rajmunda, wyznawcy, dominikanina, wielkiego spowiednika i obrońcy niewolników. † 1275.

Dnia 24 stycznia. Czwartek. Św. Tymoteusza, biskupa i męczennika, towarzysza i ucznia św. Pawła ap.

Dnia 25 stycznia. Piątek. Nawrócenie św. Pawła ap. Rocznica cudownego nawrócenia Szawła prześladowcy chrześcijan na gorliwego wielkiego apostoła Pawła, co dokładnie opisują Dzieje Apost. w r. 9 i co czyta kapłan w lekcji mszalnej tego święta.

Dnia 26 stycznia. Sobota. Św. Polikarpa, biskupa Smyrny, ucznia św. Jana apostoła. † 166 r.

Do naszych abonentów pocztowych!

Tylko od 15 do 25 b. m.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na luty wzgl. luty-marzec b. r.

Kto nie chce się narazić na przerwę w dostarczaniu pisma, niech zgłosi się u listowego, który na żądanie przedłoży kwit pocztowy i zainkasuje prenumeratę 0,78 zł na 1 miesiąc lub 1,56 zł na 2 miesiące.

Abonenci otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską płać kwartalnie zł 2,70, miesięcznie zł 0,90.

Wszystkich naszych P. T. abonentów pobierających pismo wprost od nas w większych ilościach, uprzejmie prosimy o łaskawe jak najszybsze wniesienie przedpłaty na I kwartał b. r., najpóźniej do końca lutego b. r.

DWA DNI W STOLICY ANGLJI

Było to w wtorek w sam Nowy Rok. Wieczorem przychodzi z Anglii wiadomość, że Ks. Kard. Bourne, arcybiskup Londynu zmarł, a pogrzeb jego wyznaczono na piątek, dn. 4 stycznia. Zmarły Kardynał był znanym przyjacielem Polski. Dwa razy prowadził wycieczki angielskie do naszej ojczyzny, nie omieszkując każdego razu złożyć uszanowania naszemu dostojnemu Ks. Kard. Hlondowi. To też dowiedziawszy się o jego zgonie, Ks. Prymas postanowił oddać mu ostatnią przysługę i wziąć udział w złożeniu zwłok na wieczny spoczynek.

Szybko zapadła decyzja: jutro wyjazd!

Tak też istotnie się stało: w środę wyruszyliśmy a w czwartek około południa wysiedliśmy już na wyspie angielskiej w porcie Dover. Tu zjawia się przed nami wysoki szczupły Anglik przybrany w mundur z kartką w rękę i mówi coś po angielsku. Z wszystkich tych dźwięków jedno tylko słowo zrozumiałem, mianowicie „Hlond”. Jak się słusznie domyśliłem był to urzędnik wysłany poto, aby ułatwić Ks. Kardynałowi przejście z statku do pociągu.

W półtorej godziny później witali Ks. Prymasa na dworcu londyńskim przedstawiciele Ambasady polskiej, p. Konsul generalny oraz jeden z kanoników jako przedstawiciel Kapituły londyńskiej.

Mieszkanie wyznaczono w hotelu „Grosvenor” tuż przy stacji. Pierwszą czynnością w Londynie było pomodlić się przy zwłokach zmarłego Kardynała, poczem Ks. Prymas wypoczywał a ja z proboszczem parafji polskiej Ks. Cichosem wybrałem się, aby choć pobieżnie oglądnąć niektóre ulice Londynu. Udajemy się do kościoła polskiego. Pieszko iść — to rzecz niemożliwa, więc siadamy do autobusu. Autobusy londyńskie są obliczone na większą ilość pasażerów, dlatego są tak zbudowane, że mają parter i piętro. Całość wygląda tak jak gdyby na dach zwykłego autobusu wsadzono drugi. Taki wysoki wóz na pierwszy rzut oka

robi wrażenie, że za najbliższym zakrętem straci równowagę i runie, to też z pewnem wahaniem do niego wchodzę. Zajmujemy miejsce na piętrze, aby wszystko lepiej widzieć.

Ruszamy! Na ulicach ruch nie do wyobrażenia. Ciągnie się cały wąż aut większych i mniejszych. Mijamy na lewo (nie jak u nas na prawo) niemniejszą ich ilość a wszystko posuwa się w jakimś dziwnym jakby grobowym milczeniu. Zapytuję się więc Ks. Proboszcza — czem to tłumaczyć?

— W Londynie nie wolno dawać sygnałów — brzmi odpowiedź, — tylko w ostateczności i to bardzo lekko a po godz. 11 wieczorem sygnalizowanie surowo wzbronione.

— A czy nieszczęśliwych wypadków jest dużo?

— Owszem, mimo że szoferzy jeżdżą bardzo rozważnie, bo za najłżejsze uchybienie odbiera im się zezwolenie jazdy, to jednak w całej Angli ginie od samochodów około 100 osób tygodniowo.

Zaciekawiony tem miastem-olbrzymem zaczynam dalej wypytywać się o różne rzeczy:

— Ile mieszkańców liczy obecnie Londyn?

— Przeszło 8 milionów.

— A jak z tak wielkim ogromem zarząd miasta daje sobie radę?

— Jednolitego zarządu miasta właściwie niema, bo Londyn dzieli się na przeszło 40 dzielnic, z których każda ma swoje odrębne władze miejskie z burmistrzem na czele, swoją gazetę, swoje ceny na światło, wodę i t. d. Wyjątkową władzę, opartą na tradycji, ma burmistrz dzielnicy stanowiącej centrum miasta. Z nim nawet król musi się liczyć i w niektórych rzeczach, np. gdy chce przeprowadzić wojsko przez jego dzielnicę, musi uzyskać formalnie jego zgodę. Na tego burmistrza co rok wybierany jest jeden z lordów. Obecnie wyjątkowo lord ten jest katolikiem.

— Ilu katolików mamy obecnie w Anglii?

— Około 2¹/₂ miliona.

— A czy kościół polski oddawna istnieje?

— Od kilku lat dopiero i to wykupiliśmy go od sekciarzy swedenborgistów.

— To sekty tu upadają?

— Owszem często się zdarza, że ich zbory wykupują katolicy na kapliczki i kościółki albo też anglikanie na domy do zabaw i gier.

— A więc liczba katolików rośnie?

— Rośnie i to dość znacznie. Nawrócenie byłoby stosunkowo dość łatwe, gdyby król się nawrócił, ale ustawy już nakazują, aby był heretykiem.

— A nawiązując do Polaków, czy uczęszczają do swego kościołka?

— W święta przychodzą ale w dni powszednie jest to niemożliwe z powodu zbyt wielkich odległości. Najbliższa rodzina polska musi pół godziny jechać autobusem, by do kościoła naszego się dostać.

— A Ks. Proboszcz też ich odwiedza?

— Owszem! Odwiedzam ich a prócz tego teraz, kiedy w sklepach pod kościołem urządłem salę na zebrania i zabawy, dość często i tam ich spotykam. Ostatnio odegraliśmy jasełkę, która udała się nadzwyczajnie. Był na niej i pan Konsul Generalny i naprawdę dużo Polaków nawet takich, którzy byli niechętni i zimni.

Tymczasem autobus stanął. Wsiadamy. Mijamy kilka ulic i stajemy przed ładnym i zgrabnym choć małym kościółkiem.

— Oto nasz kościółek.

— A ksiądz proboszcz daleko mieszka? — zapytuję.

— W kościele! Bo widać, ksiądz, cały budynek nie jest przeznaczony na nabożeństwa, lecz

tylko środkowa



Trafalgar-Square (czyt. skwer), plac publiczny w Londynie, nazwany tak na pamiątkę zwycięstwa floty angielskiej nad flotą Napoleona w r. 1805, koło przylądka Trafalgar, w południowej Hiszpanji. Na placu znajduje się pomnik zwycięskiego admirała Nelsona, bohatera narodowego Anglii. Trafalgar-Square jest jednym z najpiękniejszych placów na świecie.

część oznaczona u góry dwiema wieżkami. Z lewej strony jest mieszkanie dla księdza, z prawej na parterze kapliczka, stanowiąca boczną nawę, a na piętrze mieszkanie zajęte przez pewną rodzinę polską.

Kościółek istotnie miły. — Nad głównym ołtarzem mieści się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej — patronki kościoła. W nawie bocznej urządzono żłóbek. Pod kościołem dwie wielkie sale przeznaczone na zebrania i zabawy. Jest tam scena z kulisami wymalowanymi przez pewnego Polaka — jest i radio a na ścianach widnieją barwy polskie i angielskie oraz herby kilkudziesięciu miast polskich, co daje poznać, że jesteśmy na małym skrawku ziemi polskiej wśród oceanu londyńskich budynków.

Nazajutrz dzień był pogodny i słoneczny. W niczym nie przypominał naszej zimy. W Londynie zresztą mróz jest rzadkością. Ostatni raz był przed czterema laty. Temperaturę łagodzi przepływający koło Anglii ciepły prąd

morski. Tego dnia Ks. Prymas po odprawieniu mszy św. w kościółku polskim, udaje się do katedry na uroczystości żałobne. Wychodzi z hotelu przybrany w strój liturgiczny (fioletowy). Co za zdziwienie wśród służby. Kelnerzy i kelnerki oglądają się z zaciekawieniem, że o mało swych misek i talerzy nie pogubiły, a chłopcy hotelowi dopiero mają uciechę. Pewno pierwszy raz w życiu udało im się ujrzeć kardynała w takim stroju, to też uśmiechają się pod nosem i nieznacznie pokazują palcem na nas jako na coś bardzo niesamowitego. W Anglii bowiem kler poza kościołem ubiera się tylko w marynarki, nie wyłączając księży biskupów, a w dni uroczystsze wkładają na głowę cylindry. Sam widziałem miejscowych biskupów tak przybranych.

Po kilku minutach dojeżdżamy do katedry. Wielka świątynia, jeszcze nie wykończona, będąca dziełem zmarłego Kardynała, wypełniła się po brzegi. W środku kościoła na kirem obitym katafalku spoczywa trumna ze zwłokami. Na trumnie purpurowy kapelusz kardynalski, jako symbol godności zmarłego. Mszę św. odprawił jeden z księży Biskupów. W nabożeństwie wzięło udział dwóch kardynałów — prócz Ks. Prymasa przybył Kardynał Verdier z Paryża — około 20 biskupów, przedstawiciel króla, jeden z ministrów oraz ambasadorowie różnych państw.

Po obrzędach żałobnych ruszył kondukt. Trumnę ułożono w aucie, za którym posuwały się samochody z gośćmi. Pogrzeb miał odbyć się w kapliczce seminarjum duchownego św. Edmunda, w miejscowości Ware, odległej o 24 mile (około 40 km) od Londynu. Początkowo przez jakie trzy kwadransy posuwałam się ulicami miasta.

Na obu chodnikach zwłaszcza w pobliżu katedry zebrała się znaczniejsza liczba katolików, którzy przed zwłokami swego duchownego wodza zdejmowali kapelusze i pochylali swe czoła lub też klękali, czyniąc



Ś. p. ks. kardynał Bourne był wielkim przyjacielem dzieci.

znak krzyża świętego, jak gdyby spodziewali się ostatniego jeszcze błogosławieństwa tego, który przez 24 lata jako kardynał im błogosławił. I słusznie się tego spodziewali bo, jak się dowiedziałem, do ostatniej chwili swego życia o nich myślał, a tuż przed śmiercią ostatnim jego słowem było: „Całemu Kościołowi katolickiemu w Anglii błogosławię” — i podniósł rękę, aby zakreślić znak krzyża św. — „w imię Ojca...” — tu sił już nie starczyło, ręka opadła głos zamarł i gorliwy pasterz opuścił swe owieczki na zawsze. Błogosławił im nawet w chwili śmierci, więc i teraz żegnającym go z pewnością błogosławił z nieba. Zwłoki spuszczone do grobu przybranego w zieleni i kwiaty.

Tego dnia jeszcze Jego Eminencja Ks. Prymas złożył kilka wizyt. Teraz dopiero podziwiać można było z jednej strony ogrom miasta, bo zdarzało się, że jechaliśmy w jakimś kierunku kilkanaście km., stale w mieście wśród ustawicznego ruchu, a z drugiej strony orientację szofera, że wśród takiego labiryntu ulic nigdy się nie pomylił ani nie przystawał dla zasięgnięcia informacji.

W sobotę Ks. Kardynał odprawił mszę św. u Księża Salezjanów a po obiedzie opuszczał już gościnny Londyn a ja z nim, zadowolony, że widziałem nową stolicę, nowy kraj i nowych ludzi.

S. I.



4-go stycznia odprawiło się w katedrze Westminster uroczyste „Requiem” nad zwłokami ś. p. kardynała Bourne’a w obecności licznych przedstawicieli Kościoła i angielskiego rządu. W owalu podobizna dostojnego zmarłego. Ś. p. ks. Kardynał urodził się z ojca protestanta, który później przyjął katolicyzm. — Śliczna katedra, niedawno zbudowana, jest dziełem zmarłego księcia Kościoła.

Do Młodych

*Szukajcie prawdy jasnego płomienia!
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg...
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!*

*Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...*

*Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!*

*Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!*

El...y.

Szczęśliwa młodość

*Szczęśliwa młodość... nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;
Dzień szczęścia długi, żalu — krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.
Szczęśliwa młodość!... swe boleści
W słowicznym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie! El...y.*

„Sisto“ tonie!... „S. O. S.“

W jaki sposób załoga norweskiego parowca transportowego „Sisto“ została uratowana przez załogę ratunkową okrętu linii Hapag „New York“.
Opowiadanie komendanta „New York“, komandora Krusego.

Zima na Atlantyku to pora ustawicznych burz. Żegluga jednak na oceanie w tym czasie nie ustaje. Przez morze, częstokroć rozszalałe, suną — bez zmian — setki okrętów. Są wśród nich statki ogromne, są też i mniejsze, które srożący się żywioł czyni lupiną na łasce fal. Ocean rokrocznie pochłania dziesiątki ofiar. To załogi tonących okrętów i ci, którzy pośpieszyli im na ratunek. Ile wysiłku a nawet bohaterstwa wymaga akcja ratunkowa, niech świadczy o tem sprawozdanie kpt. statku „New York“, komandora Kruse, który przed kilkoma tygodniami wyratował załogę z tonącego, norweskiego statku handlowego „Sisto“. Chcemy naszym czytelnikom uprzytomnić groźne niebezpieczeństwa, w jakich taki ratunek się odbywa i dlatego korzystamy z sposobności i za łaskawem zezwoleniem redakcji wielkiego tygodnika „Berliner Illustrierte Zeitung“ umieszczamy to sprawozdanie.

Było to w nocy z 17 na 18 grudnia 1934 r. Statek nasz, kursujący na linii Nowy Jork—Hamburg, był przepelniony, jechali bowiem na nim ci wszyscy, którzy Gwiazdkę pragnęli spędzić w starej Europie.

Morze, wzburzone i pełne o tej porze niespodzianek, zmuszało mnie do

tego, że często przez dłuższy czas zejść nie mogłem z kapitańskiego mostku. I tak też się stało w nocy z 17 na 18, t. j. z poniedziałku na wtorek.

W chwili, w której szedłem od przodu okrętu ku sterowi, usłyszałem z tuby sygnałowej na mostku dwa ostre gwizdy. Znaczyło to: „radjotelegrafista otrzymał nagłą i ważną wiadomość, jaką natychmiast musi przekazać komendzie statku“. Z ciemności mostku wyłoniła się postać marynarza-gońca, który tam stale czuwał, a który służył do przenoszenia rozkazów. Posłałem go do radjostacji po depeszę. Po chwili miałem ją już w rękę. Dowiedziałem się z niej, że norweski statek „Sisto“, znajdujący się nieco dalej ode mnie na północ, jest w wielkiem niebezpieczeństwie i że wzywa S. O. S. (Początkowe litery angielskiego wezwania: Save our souls! to znaczy: Ratujcie nasze dusze! Wezwanie to wysłała stacja radjowa okrętu, znajdującego się w niebezpieczeństwie i wzywającego pomocy.)

Popłynęliśmy więc natychmiast pełną parą w kierunku na „Sisto“. W radjostacji wszyscy byli na stanowiskach, a nas, komendę statku, pochłaniała jedna tylko myśl: czy zdążymy, czy przybędziemy jeszcze w porę, by uratować załogę zagrożonego burzą okrętu? O świcie usłyszałem znowu dwa gwizdy w tubie. Niebawem goniec stanął przy mnie z radjodepeszą w rękę. To parowiec „Mobile Oil“, wiozący naftę, telegrafował nam, że znajduje się już przy „Sisto“, że sama zdoła przeprowadzić prace ratunkowe i że pomoc innych jest już zbyteczna. Nie namyślając się dużo, wróciłem natychmiast na stary szlak i popłynąłem ku oczekującym nas choinkom.

Morze tymczasem burzyło się coraz więcej. Minał poranek, południe — była godzina 1. Poszedłem więc na śniadanie do sali jadalnej. Zaledwie zabrałem się do jedzenia, a już zjawił się goniec z depeszą. Parowiec „Mobile Oil“ telegrafował, że wylał już cały swój zapas oliwy, aby uspokoić fale. Mimo to jednak morze przy

„Sisto“ jest tak wzburzone, że nie może być mowy o tem, aby spuścić łodzie i przystąpić do akcji ratunkowej. Wzywa więc wszystkich: „Sisto tonie — S. O. S.“

— Do pioruna! — pomyślałem i skończyłem na mostek. — Musimy teraz płynąć zpowrotem, zejść z kursu, a nadto zwrócić się ku rozszalałemu morzu.

Fale szły wysokie. Wiatr wył dookoła statku. W takielażu (olinowaniu) zawodziło coś przeraźliwie. Od czasu do czasu morze waliło w okna spacerowego pokładu. Stałem na mostku patrząc przed siebie. Ciemność ogarniała nas coraz większa.

Tak nadeszła godzina 6,16 wieczór. Było zupełnie ciemno, niebo bez gwiazd, a wokół czarna, przepaścista noc.

Mijały minuty: 6,16, 6,20, wreszcie o 6,30 mignęły bezpośrednio nad wodą dwa czerwone światła.

— Tak, to „Sisto“! — wyrwało mi się westchnienie ulgi. — Tak, to niewątpliwie on zgodnie z przepisami wywiesił te lampy. Znaczyło to: „Jestem niezdolny do manewrowania“.

Popłynęliśmy więc czempredziej naprzód. Najpierw zauważyliśmy „Mobile Oil“. Był to mały stosunkowo statek, który sam tego musiał walczyć z rozszalałą burzą. Tuż potem w ciemnościach dojrzyliśmy „Sisto“, który był już głęboko zanurzony w wodzie, a ogromne, piętrowe fale przelewały się przez jego pokład.

Kiedy zbliżyliśmy się do miejsca katastrofy, parowiec „Mobile Oil“ depešował: „Zapasy oliwy wyczerpany — nie możemy dłużej manewrować — pragniemy odplynąć — co wy na to?“ Odpowiedziałem: „Zgodna!“ I „Mobile Oil“ odplynął. Wkrótce potem zauważyliśmy światła innego okrętu. Był to parowiec „Aurania“, który niebawem zapytał nas: „Czy będziecie ratowali „Sisto“?“ Odpowiedziałem: „Tak!“ Poczem telegrafowałem do „Sisto“, którego radjostacja była dotąd czynna i złożyłem jego kapitanowi następującą propozycję: „Pozostanę w pobliżu was przez noc — o świcie w jakikolwiek sposób przejmę waszą załogę — czy panu to odpowiada?“ Na to kapitan oddepešował: „Zdołamy jeszcze przetrzymać noc — o świcie gotów jestem okręt opuścić“. Tak pozostaliśmy więc w pobliżu „Sisto“, a morze miało nim jak piłką. Wśród tego cały szereg okrętów doniósł nam, iż niebawem i one przybędą, aby wesprzeć naszą akcję ratunkową. „Europa“ natomiast depešowała, że nadpłynie już za godzinę.

Przypuszczałem, że następnego dnia morze się uspokoi. — Tymczasem burza szalała.

Byliśmy oddaleni o jedną niemal długość okrętu od „Sisto“ i musieliśmy stale tak manewrować, aby fale nie rzuciły „Sisto“ na nas, albo nas na „Sisto“. Wszystkie okręty, które nadpły-



1. Komandor Kruse. 2. Drugi oficer Wiesen, mianowany po uratowaniu tonącej załogi pierwszym oficerem. 3. Uratowany Reinertsen, kapitan załogi „Sisto“. W głębi ratujący i uratowani.



CHWILA RATUNKU

Mal. Theo Matejko.

Ciemna noc. W głębi na horyzoncie światła okrętów, które przybyły na ratunek i otoczyły półkolem „Sisto”, aby zmniejszyć uderzenia fal morskich przy ratowaniu załogi. Z okrętów tych padają światła reflektorów, oświetlając okręt „Sisto”, aby zbliżającej się łodzi ratunkowej ułatwić działanie. Widzimy ją na grzbiecie fali. U steru jej komendant, drugi oficer okrętowy Wiesen. Załoga przy wiosłach, wymagających ustawicznej pracy. Dwaj zabrani „kwatermistrze” dzierżą silnie linę, przy pomocy której załoga tonącego już okrętu dociera do łodzi ratunkowej. Widać głowy marynarzy przy linie. Kto dopłynął do łodzi, tego „kwatermistrze” za nogi wciągają do środka. Na okręcie resztkę marynarzy trzymających się kurczowo lin, od których poranili sobie już ręce. Obraz pełen wstrząsającej grozy — to bohaterskie wydzieranie ofiar od mętowi morskemu, który niedługo w głębinę swoje wchłonie po burty już zanurzony, nieszczęśliwy okręt.

nęły — a było ich dużo — zapytywały nas: „Czy ratujecie?” — na co odpowiadałem: „Ratuję!”
Poczem czuwaliliśmy nadal w tem

mocnym przekonaniu, że sprawa pójdzie dobrze i że, jak się tylko rozwidni, to przystąpimy do akcji ratunkowej. Z tego, że zadanie będzie ciężkie, zdawaliśmy sobie sprawę dobrze.

O 8-ej radjotelegrafista „Sisto” doniósł nam, iż jest zupełnie wyczerpany i że musi koniecznie odpocząć. Dobrze — rzekłem. Stałem więc na

mostku i manewrowałem obok leżącego na falach małego wraku (uszkodzonego ciężko okrętu). W ogromnym półkolu stały inne wielkie okręty.

Morze wzburzyło się jeszcze więcej. Zdałem sobie więc sprawę z tego, że spędzimy noc na tem miejscu. O 10,30 w nocy sytuacja zmieniła się nagle. Ze „Sisto” nadeszła alarmująca wiadomość:

„Okręt nasz nie utrzyma się już dłużej na powierzchni, musicie nas ratować natychmiast!”

— Do diabła! — rzekłem. — Sytuacja staje

się poważna! — Nadałem więc depeszę: „A więc w imię Boże — zaczynajmy!”

Mowy oczywiście być nie mogło o tem, abyśmy bokiem podpłynęli pod bok „Sisto” i w ten sposób jego załogę na „New Jork” wzięli. W takim bowiem wypadku rozszalałe morze rzuciłoby niewątpliwie „Sisto” na nasz statek, co spowodowałoby katastrofę jesz-

cze większą. Musieliśmy więc spuścić jedną z naszych łodzi ratunkowych, a było to zadanie nielada w takim sztormie. Zacząłem wydawać rozkazy: „Pierwszy oficer przygotowuje łódź do spuszczenia — drugi oficer p. Wiesen poprowadzi ją!” Następnie zwróciłem się do wszystkich okrętów z zawezwaniem: Stańcie według możności na odwieznej, t. zn. połóżcie się długim szeregiem po drugiej stronie „Sisto”, by w ten sposób utworzyć mur, który osłabi fale walące z dziką zaciekłością w „Sisto”. Poczem zadespeszowałem „Europie”: „Spuszczamy natychmiast łódź — zapalcie wasze wielkie reflektory!” Sami zapaliliśmy dwa mniejsze.

Tymczasem 1-szy oficer przygotował łódź do spuszczenia i miał dużo kłopotu z ludźmi, którzy się w nadmiarze zgłosili jako ochotnicy do łodzi ratunkowej. Było ich tylu, iż śmiało można by nimi zająć jedną stronę okrętu. Im to wkońcu oświadczył 1-szy oficer, że do załogi ratunkowej mogą wejść tylko nieżonaci. W ostatniej chwili powiększył jeszcze załogę o dwóch ludzi, których zadaniem miało być wciąganie Norwegów z morza do łodzi ratunkowej. Zbliżała się chwila opuszczenia łodzi. Jest to chwila bardzo poważna, bo niebezpieczeństwo nie mija, gdy łódź szczęśliwie nawet na morzu osiadzie — wtedy bowiem przychodzi dopiero dech zapierające oczekiwanie, czy łódź odbije wporę od okrętu, zanim ją wielka fala rzuci na jego ścianę i o nią roztrzaska. Chwila ta nadchodziła.

Załoga zajęła miejsce w łodzi ratunkowej, wysoko zawieszanej na pałkach. Elektryczna winda zaturkotała

Janina Stefanowa Zakrzewska

10)

JEGO SYN

Stefan skłonił się w milczeniu i usunął w głąb werandy. Panna Zofja zadzwoniła, kazała podać podwieczorek i usiadła przy gościu.

— Niech mi droga pani opowie, co słycać w okolicy.

— A no, najświeższa nowina, i zdaje się, zupełnie pewna: Władysław Czarkowski się żeni.

Ręka Stefana niosąca papierosa do ust zawisła w powietrzu.

— Nie może być! — zawołała panna Zofja, a z kim?

Pani Starecka się śmiała.

— No, no, niech pani nie udaje... wróble o tem na dachach świergocą... od dwóch lat! Wszyscyśmy widzieli, że się stara, a w ostatnich czasach jeździ tam prawie codziennie...

Zniżyła głos.

— Wczoraj znów tam był, chodzili długo po ogrodzie, przy pożegnaniu całował ją bez końca po rękach, a potem poszedł prosto do pana Cielńskiego. No?...

Popatrzyła z triumfem na pannę Zofję, która zagryzła usta.

— Ależ droga pani jest poinformowana! Żadna z nich nie zauważyła, że Stefan bezszelestnie zwerandy zniknął.

i łódź z zawrotną szybkością zjechała wdół.

— Bogu dzięki! Szczęśliwie osiadła na wodzie.

Pełni napięcia patrzymy wdół z kapitańskiego mostku. Nurtuje nas teraz tylko jedno pytanie: czy dopłynie szczęśliwie, czy też się roztrzaska.

W ciemnościach i przy tem rozszalałem morzu nie widać nic. Łódź znika. Światła reflektorów drgają na wodzie, ślizgają się po grzbiecach piętrowych fal i nikną w dolinach. Na Boga! — gdzie jest łódź?... Aha — właśnie tam w cudowny sposób się wylania. W świetle reflektorów widzimy, jak załoga wiosłuje z całych sił. Wtem łódź znalazła się na grzbiecie fali. Teraz mknie jak błyskawica wdół. Fale chwytają ją i rzucają w górę, ześlizguje się więc znowu wdół. Posyłam marynarza na przód okrętu i rozkazuję mu stale wywoływać odległość między „Sisto” a nami, ponieważ obawiam się zderzenia.

Z zapartym oddechem śledzimy łódź. Obecnie jest już przy „Sisto”, teraz głęboko poniżej niego, to znowu wydaje się nam, jakoby łódź, która na jedno mgnienie oka wznosi się na wysokość ponad „Sisto”, fale chciały rzucić na jego pokład. „Sisto” wyrzuca linę do łodzi ratunkowej. Nasi ludzie chwytają ją. Pada rozkaz Wiesena: „Skaczcie przez burtę, a trzymajcie się liny”. I ci nieszczęśliwi, śmiertelnie wyczerpani ludzie ze „Sisto”, których dłonie były pokaleczone od ustawicznego trzymania się lin, skaczą do morza jeden po drugim. Dochodzą aż do łodzi, a dwaj marynarze, przechyliwszy się zu-

pełnie przez burtę, chwytają rozbitków za nogi (broń Boże za ramiona, to byłoby zupełnie błędne) i wciągają ich do łodzi. Ostatni skacze kapitan.

— Dzięki Bogu, zadanie spełnione! W łodzi mamy 16-tu ledwie dychających ludzi, którzy przez wiele godzin śmierci patrzyli w oczy i którzy już dawno sami zwątpili w swoje ocalenie. Tymczasem czują się fatalnie i zwracają wodę morską, jakiej się nalykali.

Akcja ratunkowa nie jest jeszcze skończona — nadchodzi bowiem zadanie najtrudniejsze. Trzeba teraz załogę i ocalonych wzięć na pokład „New Jorku”. Łódź, świetnie prowadzona przez Wiesena, wspina się na grzbiety fal i spływa w ich doliny. Wiesen zapala czerwone światło, co ustaliliśmy jako znak, że ma wszystkich ludzi ze „Sisto” na pokładzie. Łódź ratunkowa zbliża się do „New Jorku”. Zmuszeni jesteśmy zrezygnować z podniesienia jej przez dźwigi, ponieważ obawiamy się, że jeszcze w ostatniej chwili fale ją przewrócą i wszyscy wpadną do morza. Otwieramy więc lukę w międzypokładzie a łódź podpływa ku niej. W tej chwili rzuca my linę. Dziesiątki silnych rąk chwytają ją. Łódź utrzymuje się na mgnienie oka przy linie — i ta chwila wystarcza, aby ci, którzy się w niej znajdowali — dostali się na pokład „New Jorku”.

Tak wszyscy zostali ocaleni. Misja ratunkowa skończona. Łódź zostawiamy na łasce fal.

To wszystko! Jeżeli mam jeszcze coś dodać, to chyba to, że spełniliśmy tylko zwykły obowiązek marynarza — nic więcej!

Pani Starecka śmiała się dobrodusznie.

— Niech pani bez ceremonji powie, że zwożę plotki... plotek nie robię, ale nie kryję się z tem, że strasznie lubię wszystko o sąsiadach wiedzieć! A te ostatnie wiadomości mam od mojej gospodyni, która jeździła wczoraj do Bożykówki po maliny i czekając na nie, wszystko wypatrzyła — i wysłuchała.

Panna Zofja straciła humor. Jej faworytka! Za takiego Władka!... A ona marzyła... ot, głupie staropanieńskie złudzenia! Stefanowi ani się śniło!

Weszła Antoniowa, meldując podwieczorek. Panna Zofja obejrzała się, szukając siostrzeńca.

— Gdzież się panicz podział?

— A to, proszę pani, widziałam jak do lasu leciał — objaśniła gospodyni.

Panna Zofja wzruszyła ramionami — obie panie same zasiadły do stołu.

Las szumiał zcicha, na ziemi, pomiędzy strzelistymi pniami sosen i potężnymi rosochatami dębami leżała ruchoma siatka cieniu, rzucanego przez podniebne gałęzie. Mocno pachniało żywicą i jakimiś tajemnymi leśnymi woniami.

Halina Cielńska jechała konno po wąskiej leśnej ścieżce. Ładny pół krwi kasztan niecierpliwie żuł wędzidło, wyrzucał łbem — sprężyste nogi rwały się do kłusa, piaszczysta, darnią porośla droga tak nęciła! Ale drobna ręka amazonki mocno dzierżyła cugle, nie można było sobie pozwolić!...

Dziewczyna jechała ze wzrokiem wbitym w ziemię, pogrążona w zadumie. Nagle koń skoczył — odruchowo go ściągnęła i poniosła wzrok: stał przed nią Stefan Czarkowski.

Był w tem samym szarem ubraniu, które miał na sobie, gdy się pierwszy raz widzieli i tak, jak wtedy, był bez kapelusza. Ale czerstwa, zwykle tryskająca zdrowiem twarz była biała jak płótno a ciemnoblękitne oczy gorzały posępnym ogniem.

Halina zdziwiła się i trochę przstraszyła jego wyglądem — ale wyciągnęła ku niemu rękę zwykłym przyjacielskim ruchem. Nie dotknął jej, skłonił się głęboko i przeskoczywszy przydrożny rów, przepadł w gęstwinie.

Panna Cielńska siedziała chwilę jak skamieniała.

— Co się stało?

Z życia katolickiego

Hołd. Laval złożył hołd Ojcu św. Franciszka na dobrych stosunkach ze Stolicą Apostolską. Pierwsza to bytność w Watykanie francuskiego ministra spraw zagranicznych od wielu, wielu lat. Ale jak dotąd rząd francuski nie wystąpił z pomysłem konkordatu, o czym była jednak mowa za życia Brianda.

Za jednego — 117. „Całusy“ Mussoliniego z Lavalem zagłuszyły straszne jęki, dochodzące z Rosji. Po zabójstwie Kirowa, przyjaciela Stalina, w Bolszewji rozpoczęły się na nowo masowe rozstrzelania: naprzód skończono z 103 biedakami, którzy nic wspólnego nie mieli z tą zbrodnią, potem dopiero rozstrzelano 14 „spiskowców“. Okazuje się, że w łonie rządzącej partii komunistycznej powstała opozycja „lewicowa“. Ona to przez zabójstwo Kirowa i zamierzone sprzątnięcie Stalina chciała objąć władzę. Nie udało się. Przywódcy „duchowi“ tej opozycji, żydki Zinowjew i Kamieniew zesłani zostali tam, gdzie zimują białe niedźwiedzie.

Kapłani katolicy w Meksyku „muszą być żonaci“. Gubernator stanu Puebla w Meksyku wydał ostatnio nowy dekret, świadczący o prawdziwie szalonych pomysłach, jakie dziś przychodzą do głowy władcom czerwonego Meksyku. W artykule 7 powyższego dekretu gubernator oświadcza, że zezwolenie na pobyt w granicach stanu Puebla oraz na wykonywanie czynności, związanych z duszpasterstwem, może być odtąd udzielane jedynie tym kapłanom, którzy urodzili się w tym stanie, którzy przekroczyli lat 50, którzy będąc członkami jakiegos religijnego stowarzyszenia, są jednakowoż „wolni od przysięgi na posłuszeństwo wobec władz kościelnych“.

nych zagranicznych“ i którzy są żonaci! To czyste drwiny z wszelkiego prawa. Tak się dzieć musi wszędzie, gdzie prawem staje się samowola, nienawiść i barbarzyństwo.

Nowe cudowne uzdrowienie w Lourdes. Marja Engel, urodzona we Francji, chorowała na płuca od roku 1912. Z czasem została zagrożona suchotami, które w roku 1933 tak dalece się rozwinęły, że lekarze stan chorej uznali za beznadziejny. 23 sierpnia 1933 roku chora przybyła do



Pamiętka Jubileuszu Odkupienia.

W parafii Niemen Lidzki (woj. białost.) wzniesiono na pamiątkę Jubileuszu Odkupienia piękny pomnik Chrystusa Króla na wzór słynnego pomnika Chrystusa pod krzyżem przed kościołem Świętego Krzyża w Warszawie.

Lourdes, gdzie udzielono jej ostatnich sakramentów. Temperatura wynosiła 41 stopni. 24 sierpnia chora poprosiła, aby ją zanurzano w cudownym źródle, mimo sprzeciwu pielęgniarki. Życzeniu chorej uczyniono zadość. Po zanurzeniu w źródle cudownym wystąpiły oznaki niemal raptownej poprawy. Gorączka szybko spadała, doszedłszy wkrótce do normalnej ciepłoty. W biurze lekarskim stwierdzono ten stan. Poprawa zdrowia postępowała ciągle. Kiedy panna Engel przybyła po upływie zgórą roku do Biura lekarskiego w Lourdes, lekarze uznali ją za uzdrowioną. Biorąc zaś pod uwagę stan zdrowia chorej z przed roku, orzekli, że fakt uzdrowienia nastąpił wbrew naturalnym siłom przyrody, czyli uznali cudowność uzdrowienia.

Misjonarz zamarł na śmierć na północy Kanady. Kanadyjska prasa katolicka jest żywo poruszona wiadomością o tragicznym zgonie misjonarza, O. Pigeon'a (czyt. Piżona), który zaginął bez wieści jesienią ub. roku i napróżno był poszukiwany przez ludność tubylczą i patrole policyjne. Jak się okazało, misjonarz zamarł w śniegu.

Utworzenie prowincji polskiej Księżąt Misjonarzy Saletynów. Na mocy decyzji Stolicy Apostolskiej utworzona została odrębna prowincja polska Zgromadzenia Księżąt Misjonarzy Saletynów z Prowincjałem ks. Michałem Kolbuchem, M. S. na czele. Powstanie Zgromadzenia zakonnego Księżąt Misjonarzy Saletynów zostaje w ścisłym związku ze Zjawieniem się N. P. Marji, jakie miało miejsce w południowej Francji, na górze La Salette, dnia 19 września 1846 roku. Zgromadzenie zaczęło się organizować od roku 1852, a w roku 1879 zatwierdził je papież Leon XIII. Dziś misjonarze pracują na chwałę Bożą i głoszą

Heród-baba, stary kawaler i sowieckie przysmaki

Króla Heroda znamy wszyscy. Przypomnieliśmy go sobie znowu w czasie Bożego Narodzenia. Patrzeliśmy, jak czarny diabeł w szopce kłut go widłami, a biała śmierć sięgała kosą po jego głowę. Słuszna kara za jego okrucieństwo.

Król Herod dawno już umarł. Ale zato nie wymarły Herody-baby i często dają się we znaki nietylko niewinnym młodziankom, ale także statecznym mężom i ojcom rodzin.

Jak wygląda Heród-baba? Wiadomo. Jest wielka i krzepka w rękach. Głos ma gruby i głośny, a chód grzmiący. Jeżeli taka niewiasta ma męża — trudno zbadać, skąd mu się wzięła ta odwaga — wtedy biedak musi słuchać na komendę. Biada mu, jeżeli dał się namówić kolegom i zasiedział się w karczmie poza przepisaną godzinę. Drżąc wraca do domu. Na sieni już zdejmują buty, by nie obudzić słodkiej małżonki. Pokornie przeprosza za popełniony wybryk i ze łzami przyrzeka poprawę.

Ale jest inne jeszcze wydanie Heroda-baby, zgoła odmienne od pierwszego. Niewiasta szczupłutka i drobniutka, oczy jak u dziecka, głosik cienki i delikatny jak flet; a jednak mąż, choć

mocny jak niedźwiedź, siedzi pod jej pantofelkiem jak mysz pod miotłą. Biada, jeżeli pan i władca chce się wylamać zpod jej władzy: wtedy drobna postać staje się olbrzymem, dziecięce oczka ciskają błyskawice, a miły głosik grzmi, jak burza, „

Ale bardzo często taki Heród w spódnicy jest nim tylko z konieczności i nieraz ma bardzo wielkie zasługi. Jeżeli mąż jest safandulą albo leniuchem albo pijaczną, wtedy nie dziw, że żona zagarnia władzę w swoje ręce i sprawuje rządy nad domem, dziećmi i — mężem. Nie jest to rzecz miła dla niego, dla niej zapewne też nie, ale co ma robić? Lepiej, że kobieta panuje w domu, energiczna i mądra, aniżeli gdyby całe gospodarstwo i szczęście domowe miało się rozlecić z winy męża „niedorajdy“.

Ale w porządku to nie jest. Trudno. Żona nie jest ani niewolnicą ani sługą, tylko towarzyszką męża, to prawda; ale bądź jak bądź głową domu jest mąż. I zdaje mi się, że kobiety same nie chcą mieć męża safandulę. Chcą mieć męża, który umie rządzić domem i bronić go, męża, u którego mogą znaleźć podporę i pomoc w potrzebach życia.

Kobieta naogół nie lubi być Herodem. Woli być żoną, cichą, skromną, kochającą. Niepotrzebnie więc różni panowie — ze strachu przed żoną-Herodem — trwają uparcie w stanie starokawalerskim.

Stary kawaler! Ile to on dziś ma wrogów na świecie. Mussolini gnębi go wysokimi podatkami. Matki córek pokazują na niego palcami. Gazety i ilustracje go ośmieszają. Ja też w życzeniach noworocznych napisałem kilka twardych słów o starych kawalerach.

Jasna rzecz, że nie każdy stary kawaler jest godzien potępienia. Znam kawalera, który był najstarszym synem w rodzinie. Po śmierci ojca objął jego miejsce w gospodarstwie. Był podporą matce. Wychował młode rodzeństwo — jedno po drugim. A gdy już wszystkich postawił na nogi i chciał pomyśleć o własnym szczęściu, poznał, że już jest zbyt wiekowy na małżeństwo i pozostał starym kawalerem. Cześć takiemu kawalerowi!

Znam innego kawalera. Był warty i chory. Więc powiedział sobie: Mam chorobę wnieść w życie rodzinne, mam unieszczęśliwić żonę i dzieci, to wolę

część M. B. Saletyńskiej poza Francją w Belgji, we Włoszech, w Szwajcarii, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Brazylii, na dalekiej wyspie Madagaskarze, w Afryce i wreszcie w Polsce.

Wyodrębniona prowincja polska liczy obecnie pięć domów zakonnych: w Dębowcu, w Kobylance, w Hurku pod Przemyślem, w Stanisławowie i we Lwowie. Na placówkach tych pracuje dziś 25 księży misjonarzy. Siedzibą prowincjała jest Lwów.

Poświęcenie sztandaru szkoły i poświęcenie szkoły N. Serca Jezusa odbyło się 13 listopada r. u. w dzień św. Stanisława w Kicinie (woj. pozn.). Poświęcenia dokonał proboszcz miejscowy ks. dziekan Haase przy udziale dyrektora Archid. Akcji Katolickiej ks. Marlewskiego i inspektora religji ks. Bodzianowskiego, w obecności parafjan i okolicznego obywatelstwa.

Ukarane oszczerstwo „Wolnomyśliciela“. Dnia 27 grudnia ub. r. odbyła się rozprawa w Sądzie Karnym Warszawskim przeciwko redaktorce odpowiedzialnej „Wolnomyśliciela“ p. Jankowskiej o zniesławienie parafji św. Krzyża w Warszawie w związku z pogrzebem ś. p. posła japońskiego Franciszka Hiruoko-Kawai.

W uzasadnieniu wyroku przewodniczący rozprawie, p. sędzia Rybiński, stwierdzając, że ks. Lorek jako proboszcz parafji św. Krzyża nie pobrał 5000 zł, co oszczerczo głosił organ wolnomyślicieli, oraz że zarzuty „Wolnomyśliciela“, stojące na niższym poziomie od najgorszego pisma brukowego, miały na celu ośmieszenie obrzędów kościelnych i złośliwe zdyskredytowanie duchowieństwa katolickiego w oczach bezkrytycznych czytelników — zasądził p. Marię Jankowską, jako redaktorke odpowiedzialną „Wolnomyśliciela“ na sześć miesięcy więzienia, 500 zł grzywny, 70 zł kosztów sądowych oraz umieszczenie sprostowania na własny koszt w pi-

mach: „Kurjerze Warszawskim“, „Gazecie Polskiej“ i „Wolnomyślicielu“. Karę więzienia zawieszono na 5 lat.

Powyższy wyrok wymownie stwierdza, że wojujący wolnomyśliciele nie cofają się przed żadnym oszczerstwem, byleby tylko zohydzić Kościół i duchowieństwo katolickie. Co więcej, aby tylko nie zamieścić sprostowania i nie odwołać kłamstwa, swą redaktorke odpowiedzialną narazili na karę więzienia i koszty sądowe. Oto są sposoby postępowania tych, co głoszą „wolność sumienia i swobodę myśli“.

Dla uczczenia pamięci ś. p. Ks. Edwarda Szwejnicia, pierwszego rektora Kościoła akademickiego i pełnego zasług budziela ducha religijnego wśród młodzieży akademickiej w Warszawie, utworzył się komitet, który na pierwszym walnym zebraniu zdał sprawę ze swej działalności. Omówiono sprawę pomnika i werbowania członków. Ufundowania tablicy pamiątkowej w kościele akademickim podjęła się młodzież akademicka.

JUBILEUSZE KAPLAŃSKIE I ZAKONNE. W Tarnowie obchodził 60-lecie kapłaństwa ks. inf. *Baba*, prepozyt kapituły katedralnej, założyciel Muzeum Diecezjalnego i Bursy dla ubogich terminatorów. W Kaliszu obchodził 50-lecie kapłaństwa zasłużony proboszcz parafji św. Mikołaja ks. prał. *Jan Sobczyński*. Sześćdziesięciolecie powołania a 50-lecie ślubów zakonnych obchodziła przełożona polskiej prowincji Córki Bożej Miłości matka *Ludwika Binder* w Krakowie, a przełożona generalna SS. Felicjanek w Krakowie, matka *M. Pia* 50-lecie ślubów zakonnych. Wdzięczni parafjanie urządzili obchody jubileuszowe: ks. *Stan. Rosochowiczowi* z Ocięża (woj. pozn.) z okazji 40-lecia kapłaństwa i 25-lecia nieprzerwanego zarządu parafją, a ks. *Edmundowi Konarskiemu*, proboszczowi parafji Szemborowo (woj. pozn.) od lat 34, z okazji 40-lecia kapłaństwa.

wątpienia, ale są też inni. A tym innym słusznie należy się nieco zrozumienia, serca i życzliwości."

Zmarłym stawia się nagrobki kamienne, kładzie się kwiaty na grobie. Umyślnie tu, zacny druhu, przepisałem piękne wasze słowa, aby były jakoby nagrobkiem i kwiatem ku uczczeniu pamięci waszej narzeczonej.

Wam zaś, panno H. G. z Poznania, niechaj powyższe słowa będą odpowiedzią na wasz ostatni list do „Przewodnika“; przekonajcie się, że są jeszcze panowie, którzy mają w sobie szlachetne czucie i wierne serce. Ufam, że i pani kiedyś w życiu takiego męża sobie wysłuży i wymodli. —

Tymczasem minęły święta, a także Trzej Królowie wrócili już do krainy swej. Chodząc w czasie świątecznym ulicami Poznania, przyglądałem się wystawom sklepowym, jako że to nic nie kosztuje. W jednym oknie przeczytałem napis: kawior astrachański. Jak to? pomyślałem; przecież kawior — to drogi przysmak dla bogaczy, a Astrachan — leży w Rosji sowieckiej. Więc to bolszewicy dla swoich ludzi nawet chleba nie mają, dopiero teraz — po 18 latach istnienia — poczynają znosić karty chlebowe, a nam przysyłają przysmaki dla polechtania podniebienia bogatych ludzi?

Byteń (nad Szczarą, pow. Słonim, woj. wil.). Rosjanie zabrali na cerkiew kościół i klasztor, gdzie niegdyś przeorem był św. Jozafat, a ludność zmusili do przejścia na prawosławie. Katolicy w parafji, a jest ich ledwie 500, wybudowali drewniany kościółek. Dotąd niema monstrancji. Proboszcz rzym.-kat. parafji, ks. Bolesław Helmer prosi o ofiary na zakup monstrancji. Pomóżmy kresowemu kościółkowi.

NASZA BIBLIOTEKA

Do nabycia w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Stefan Incze. Guadelupe. Powieść osnuta na tle współczesnego prześladowania religijnego w Meksyku. Przekład z oryginału węgierskiego opracował Ks. Z. Załęski T. J. Kraków 1932. Wydawnictwo Księży Jezuitów. Str. 640. Cena 5,50.

Księża Jezuiti wporę uprzystępnili nam tę piękną książkę. Prześladowania w Meksyku nie tylko nie ustają, ale się wzmagają. Serca katolików powinny być z tymi bohaterami, którzy życie dają w obronie wiary św. Książka Inczego, oparta na dokładnej znajomości kraju, ludzi i zdarzeń daje nam żywy i przejmujący obraz dojścia do władzy przewrotnych i krwawych tyranów Meksyku i ich prześladowań na tle miłości Ramona Torresa do pełnej dziecięcego uroku Guadelupy. Dzieje tej miłości i przeobrażeń Torresa z obrońcy krwawego systemu rządowego w powstańca walczącego w obronie wiary czyta się z głębokim przejęciem i oburzeniem, że władcy Meksyku, głoszący hasła wolności, mogą władzę i prawa zmieniać w narzędzie tak barbarzyńskiego okrucieństwa.

U źródeł świętej rzeki. Nap. Ks. W. Kneblewski. Dom Książki Polskiej, Warszawa. Szkice z podróży po Ziemi św. Poprzedzone przedmową F. A. Ossendowskiego. Ilustrowane przez art. mal. A. Laszkenę. Str. 198. Cena zł. 2,50.

Książka ta powiększa szereg cennych opisów podróży po Ziemi św. Zawiera niezwykle ciekawą treść, której nie zawierają inne dzieła o Palestynie. Opisy są bardzo barwne, obrazowe, pouczające, doskonale charakteryzują całą naturę, krajobraz, lud i jego obyczaje. Autor rzecz przedstawia z zapałem i przejęciem się. Nic więc dziwnego, że przy takich zaletach książka spotkała się z doskonałym przyjęciem i jest już na wyczerpaniu. Autor myśli o drugim wydaniu.

A w innym oknie przeczytałem: wina krymskie. A Krym także leży w Rosji. Więc swoich ludzi bolszewicy karmią łzami i nędzą: a nam przysyłają wino na sprzedaż? Dziwne to, dziwne...

A w kinie właśnie dawali film sowiecki, komedję. I śmiały się usta aktorów sowieckich, ale oczy były dziwnie smutne, tak smutne jak oczy marynarzy sowieckich, którzy przed kwartałem maszerowali ulicami Poznania — w szeregach, by nikt nie uciekł. I nie dziwi! Wśród nędzy, niewoli i bezbożności niema miejsca dla radości.

A równocześnie w teatrze grano komedję sowiecką — istna powódź sowieccyzny. I pomyślałem sobie: Jak to? To wy, bolszewicy, wywozicie za granicę nawet komedję, nawet śmiech i radość? A dla was co pozostanie, biedni ludzie?

I pomyślałem sobie: Pewnie, i u nas też jest wiele nędzy, jest nieraz głodno i chłodno; ale wśród nas Pan Bóg mieszka. Mieszka Dziecina Boża, która obecnością swą nędzną slajnię zamieniła na przybytek szczęścia, na przedsiónek nieba. Oto źródło otuchy naszej i pociechy — mimo ciężkich czasów.

Pozdrowia was mile

Druh z Baranowa.

pozostać sam. Nie mogę pracować dla rodziny, ale zawsze mogę pracować dla Kościoła, dla biednych, dla społeczeństwa, dla nauki. Mogę uczynić z samotności swej ofiarę dla Boga i bliźnich. Cześć takiemu kawalerowi!

Znam trzeciego kawalera, pana Franciszka K., który przysłał mi piękny list, a w liście tym tak pisze: „Nie byłbym ja ci starym kawalerem, oj nie, i ja miałem kiedyś istotę, z którą chciałem być szczęśliwy. Była miła i potulna jak owieczka, niewinna i skromna jak fiołek, czysta jak lilja biała, jak łza anielska. Pokochałem ją za te cnoty z całego serca, z całej młodzieńczej duszy. Mówiłem sobie: z taką żoną będę miał raj na ziemi.

Niestety, przyszła nieubłagana śmierć i zabrała mi ją, kwitnącą jak te bzy i róże, młodą jak wiosna w maju. I zostałem sam, opuszczony; nie będąc mężem, zostałem wdowcem. Nie dlatego, że lekceważyłem stan małżeński, lecz dlatego, że nie mogłem jej zapomnieć i kochać ją będę aż do śmierci.

A pokochałem ją nie dla samej urody, ale dla piękności jej duszy: dla serca, cnoty, niewinności. Mylą się bowiem panny, które mówią, że mężczyźni na duszę nie patrzą, lecz tylko na urodę i pieniądze. Jest takich wielu — bez

Mój swetr wygląda po praniu jak nowy

(Sprawy Kobięce)

Pranie swetrów wełnianych, zwłaszcza kolorowych nie jest rzeczą łatwą. Często przez nieumiejętne pranie swetr staje się zupełnie niezdający do noszenia, traci formę, rozciąga się lub zstępuje, kolory „puszczają” i jesteśmy bardzo zmartwione, że „taki był ładny ten swetr, a teraz po praniu jest zupełnie zniszczony — lepiej było dać go do pralni chemicznej”.

Otóż wcale nie! — jeżeli zabierzemy się do prania z rozważą i starannością, nie tylko nie zniszczymy swetra, ale po praniu będzie wyglądał jak „nowy”. Jakże więc prać swetry?

Najważniejszą rzeczą przed praniem jest dokładne wymierzenie swetra, aby po praniu nadać mu ten sam kształt i te same rozmiary.

Układamy swetr na dużym arkuszu per-



„Rozbijamy mydliny zapomocą miotelki.”

gaminowego papieru. Wygladzamy go, aby leżał równo bez fałd i obrysowujemy wokół jego kształt zwyczajnym twardym ołówkiem. Naturalnie nie można do tej czynności używać ołówek kolorowych ani chemicznych, bo zafarbowałby nam wyprany swetr. Ten papier z rysunkiem zachowujemy i po praniu będziemy na nim suszyć nasz swetr, nadając mu formę według rysunku.

Pranie

Swetry w kilku kolorach należy prać w bardzo zimnej wodzie, prawie „lodowatej” — bo wtedy unikniemy „farbowania”. Wodę przygotowujemy w następujący sposób: najpierw rozgotujemy np. w 2 litrach wody pewną ilość naskrobanego mydła. Rozgotowane i przestudzone mydło wlewamy do odpowiednio dużej miski i rozbijamy miotką na pianę, dolewając stopniowo zimnej wody tak, aby otrzymać mydliny dobrze spienione ale bardzo zimne. Równocześnie przygotowujemy drugą miskę z czystą zimną wodą do płókania. Swetr pierzemy najpierw w mydlinach, ale nie wolno go



Ułatwiamy sobie...

(Obrazki 4 i 5)

Zwinięty stożek z papieru z obciętym końcem ułatwi zasypianie zupy czy sosu kaszką czy mąką.

Wolną prawą ręką można swobodnie rozbijać zasypkę, aby nie tworzyły się grudki.

I skorupka od zużytego jajka może się na coś przydać, na przykład do przelewania z jednej do drugiej butelki jakiegoś niepalącego lub gryzącego płynu, który zniszczyłby lejek metalowy. M.

trzeć i rozciągać. Pierzemy go przez staranne **wygniatanie** przez co unikamy nadmiernego rozciągnięcia się swetra. Im swetr brudniejszy, tem bardziej „zjada mydliny”. Czasami więc należy pranie w mydlinach powtórzyć.

W każdym razie należy pamiętać, że tylko wełna czysto i dokładnie wyprana jest miękka i ciepła.

Mylnem jest zdanie, że wełny nie należy płókać z mydła. Przeciwnie, jeśli chcemy, aby nasz swetr był miękki i ciepły, musimy go najdokładniej wypłókać z mydła, mydło pozostałe między włókienkami wełny tamuje dostęp powietrza między te włókienka, skutkiem czego wełna mniej grzeje. Płóczemy więc swetr w czystej i bardzo zimnej wodzie, wygniatając go i zmieniając wodę tak długo, dopóki nie będzie zupełnie przejrzysta, co znaczy, że mydło jest wypłókanne.

Do wody do płókania można dodać łyżkę octu, który przeciwdziała „puszczaniu” kolorów. Po dokładnym wypraniu należy swetr dosko-



nale wycisnąć z wody, **ale nie wykreczać**. Można go przepuścić przez wyżymaczkę — włożywszy go między dwa ręczniki, aby się nie rozciągnął. Wreszcie układamy go do suszenia na stole, na papierze pergaminowym wymierzamy i nadajemy mu odpowiednią formę.

Aby przy suszeniu kolory nie farbowały się wzajemnie, należy w środek swetra, w rękawy i pod kołnierz włożyć papier



Trykoty czyli odzież „dzianą” pierzemy nie przez tarcie lecz przez wygniatanie.

pergaminowy. Swetry i t. p. suszyć należy rozłożone, aby zachowały nadaną im formę — i zdala od pieca, aby nie zstąpiły się od nadmiaru ciepła. M. Sz.

Jak zużyć czerstwy chleb?

Jeżeli chleb nam sčerstwije, można go pokrajać na cienkie kromki, lekko posmarować smalcem lub wytopioną słoniną i podsmażać do zarumienienia na ogniu. Otrzymane w ten sposób grzanki będą miłym urozmaicheniem śniadania, albo też mogą służyć jako dodatek do szpinaku, marchewki lub jaj sadzonych na śmietanie. Można też

suszyć suchary i przechowywać je na kwas chlebowy lub ciasteczka z mąki chlebowej. Czerstwą bułkę można skrajać w kostkę, ususzyć w piecu i zużyć jako dodatek do jarzynowych zup. Cienko pokrajane i wysuszone kromki przechować dla chorych.

Lepsze ciasto — umoczyć każdą kromkę w mleku, potem w cukrze z cynamonem i wysuszyć w piecu, a otrzyma się smaczne sucharki do herbaty. Można też wycisnąć bułkę w mleku utrzeć z jajkiem, cukrem i korzeniami i zapiec w rondelku na leguminę. J. Ch.



W ten sposób nadajemy pierwotną formę swetrowi.



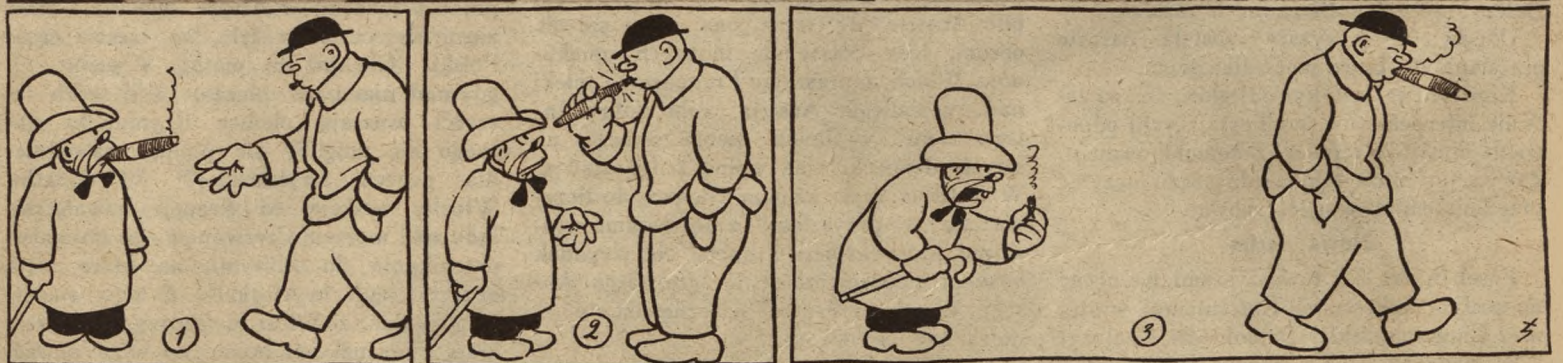
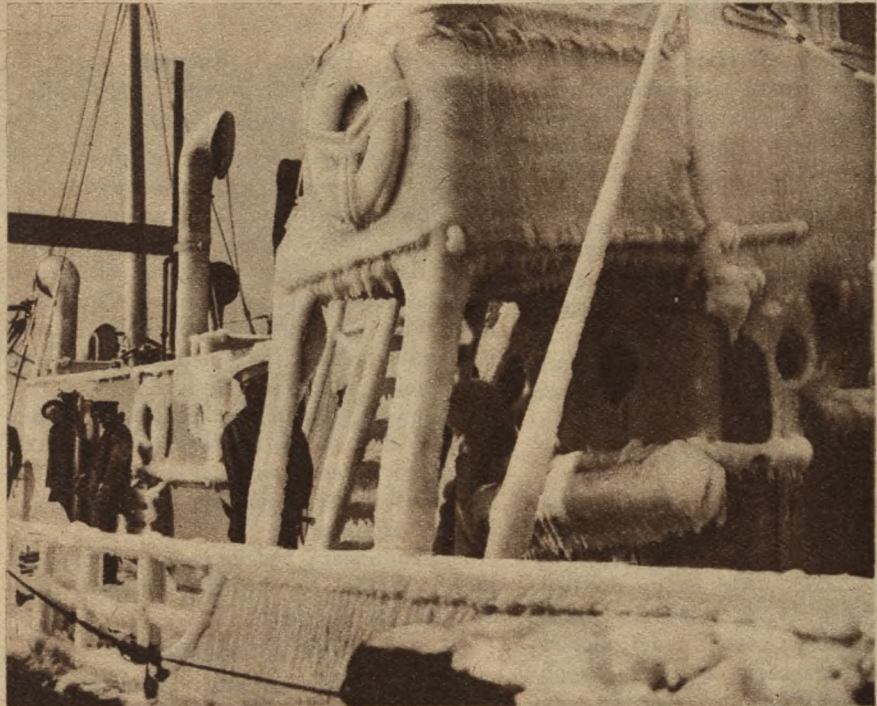
Na lewo: Nowy Rok na Zamku w Warszawie. W sali zamkowej w długim szeregu stoją ambasadorowie i posłowie państw obcych, przybyli z noworocznymi życzeniami dla Prezydenta Rzeczypospolitej w mundurach złotych sztych lub we frakach — przepasani wstęgami, obwieszani orderami. W imieniu tego korpusu dyplomatycznego jako jego dziekan przemawia Ks. Nuncjusz Franciszek Marmaggi. Po drugiej stronie, której tutaj niema, stoi Pan Prezydent z przedstawicielami swojego Rządu, Sejmu i Senatu. Tylko część otoczenia Pana Prezydenta widać przy drzwiach w głębi.

(Fot. Pikiel, Warszawa.)

Niżej na lewo: Piękny obrazek okrętu strażniczego „Marion” zakutego w lód przy 40-stopniowym mrozie, jaki niedawno srożył się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wszystko w lodowo-śnieżnej oprawie. Nielatwa praca marynarzy. (Times.)

Poniżej: Przeciwno linczowi. W Stanach Zjednoczonych biali często linczują, czyli bez sądu wymierzają tłumnie karę śmierci murzynom, którzy dopuszczają się jakiegś zbrodni wobec białych, zwłaszcza wobec kobiet. Przeciwno temu okrutnemu zwyczajowi odbył się wiec w Tennessee, w Stanach Zjednoczonych. Murzyni i metysi (potomkowie białych i Indian) przybyli na ten wiec z powrozami na szyjach, najczęściej bowiem linczowano przez powieszenia na pierwszem drzewie.

(Photo-Keystone.)



Roztargniony palacz czyli Gdy chcesz innym dogodzić, nie daj sobie zaszkodzić.

Pałę ja sobie pyszne hawana, Wtem zboku tęgi przechodził Podchodzi do mnie: — Przepraszam pana, Czy mogę prosić o ogień?

Chcę mu sam podać, lecz wzrost mój krótki Usłużyć mu nie pozwala. — Niech pan pozwoli, panie malutki — Bierze cygaro, odpala.

Oddał, dziękuje pięknie, odchodzi... Patrzę, a w ręce — ogarek!... Myślałem, że szlag we mnie ugodzi... Za grzeczność — taki podarek!!!

„PRZEWODNIK KATOLICKI“ ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK“ oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD“ i „SPRAWY KOBIECE“.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobnicie odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.70 zł, od 10 do 59 egz. po 2.35 zł, od 60 egz. wwyż po 2.— zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki“.

W sprawach dotyczących rękopisów i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagania się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta“.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27